

**Humanista powinien dawać świadectwo...****Z profesorem Bolesławem Faronem rozmawia Wiesław Łuka**

Wiesław Łuka: „Zło wynika z ustroju dusz” – konstatowali w listach do siebie Władysław Orkan i Gustaw Morcinek, dwaj przedstawiciele tzw. polskiego realizmu powieściowego. Obu prozaikom zaglądał Pan głęboko w duszę. Czy w ich prozie można odnaleźć uzasadnienie tego filozoficznego poglądu?

**Bolesław Faron:** Morcinek przyjął zawarte u Orkana w powieści *W roztokach* i w jego pismach publicystycznych (*Teoria socjalna*) przekonanie, że przyczyną wszelkiego zła jest „nierówność dusz ludzkich”. Poglądom tym pisarz z Gorców nie hołdował od początku swej twórczości. W pierwszych nowelach i powieści *Komornicy* był przekonany, że przyczyną wszelkiego zła na wsi jest bieda, nędza i wynikające z niej konsekwencje. Dopiero w czasie pracy nad powieścią *W roztokach* przeszedł głęboki kryzys ideowy, w wyniku którego dokonał generalnej rewizji poglądów na sytuację ludu wiejskiego. W miejsce dotychczasowych poglądów zajęła koncepcja „ras duchowych”, wywodząca się z propozycji Edwarda Abramowskiego i Stanisława Witkiewicza. Przewartościowanie pojęć miało daleko idące konsekwencje dla jego warsztatu pisarskiego, dla konstrukcji Franka Rakoczego, bohatera powieści *W roztokach* i dramatu z jego nazwiskiem w tytule, a także dla wymowy opowiadań z tomu *Herkules nowożytny* i publicystyki Orkana. Analizuję te procesy w książce *Władysław Orkan. Rozszerzony* (Kraków 2012).

**W.Ł.:** W swoich analizach historycznoliterackich często Pan pisze o realizmie powieściowym. Jak się on miał do innego kierunku tamtych dziesięcioleci, do Młodej Polski, zwanej też neoromantyzmem?

**B.F.:** Terminu Młoda Polska nie traktuję jako osobnego prądu artystycznego, a raczej jako nazwę okresu literackiego. Rozpoczyna się on gdzieś ok. 1894 roku i wiąże m.in. z opublikowaniem II serii *Poezji* Kazimierza Przerwy-Tetmajera, a zamyka wraz z końcem Wielkiej Wojny. Wyznaczyły go zjawiska literackie – narodziny tendencji modernistycznych czy, jak kto woli, neoromantyzmu. Wtedy pojawiają się nowe prądy artystyczne: symbolizm, impresjonizm czy ekspresjonizm. Narodziny tego ostatniego sytuuje w Młodej Polsce Jan Józef Lipski, wskazując na twórczość Jana Kasprowicza, a zwłaszcza jego *Hymny*. Ale w literaturze nic nie odbywa się na komendę, wszystko ma charakter procesu, który ewoluuje. Wówczas funkcjonują u nas również zjawiska, które osiągnęły apogeum w XIX w. – realizm i naturalizm.

Przykładów można wskazać wiele. Ograniczę się jedynie do wybranych, a więc do prozy Stefana Żeromskiego i Władysława Stanisława Reymonta. Realizm powieściowy u tych autorów wchodzi w relacje z naturalizmem. Takim przykładem są *Chłopi* Reymonta, powieść uznana przez część krytyki za wzorcowy przykład naturalizmu. Artur Hutnikiewicz, nieżyjący już historyk literatury z Torunia, wskazywał w swoich pracach na powiązania również prozy Stefana Żeromskiego (m.in. nowele) z naturalizmem. Natomiast ja w 1958 roku napisałem pracę magisterską o elementach naturalizmu w twórczości Władysława Orkana. A zatem realizm, funkcjonujący w Europie za sprawą m.in. Honoriusza Balzaca, w Polsce będzie prądem żywotnym także w latach międzywojennych pod różnymi postaciami neorealizmu literatury faktu, nowej rzeczowości itp. Podobnie będzie zresztą z naturalizmem Emila Zoli, którego ślady znajdziemy u licznych pisarzy pod koniec XIX w. (Sygietyński, Niedźwiecki, Konar, Ostoja-Sawicka), który również przed drugą wojną będzie się jeszcze tlił u Zbigniewa Uniłowskiego.

**W.Ł.:** Zajmuje się Pan „humanizmem chłopskim” u Orkana, ale też dokonuje głębokiej analizy twórczości właśnie Uniłowskiego? Czy u autora *Wspólnego pokoju* już w okresie dwudziestolecia można zobaczyć humanizm mieszczański? Czym się wyraża jeden i drugi?

**B.F.:** Kategoria humanizmu pojawiła się w nauce dość dawno. W XIV do XVI wieku humanizmem renesansowym nazywano prąd filozoficzny i artystyczny – podstawowy czynnik kultury umysłowej epoki odrodzenia. Termin pochodzi od łacińskiego *humanus* (ludzki). Myśliciele XV wieku stworzyli renesansową antropologię, skupiając się na badaniu natury ludzkiej i sytuacji człowieka w otaczającym świecie, w państwie, społeczeństwie, Kościele, wszechświecie, człowieka formułującego i tworzącego wartości. *Słownik terminów literackich* Michała Głowińskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandry Okopień-Sławińskiej, Janusza Sławińskiego (Wrocław 1988) tak rzecz definiuje:

W ogólnym znaczeniu humanizmem nazywa się także wszelkie postawy przejawiające się w uznaniu człowieka wraz z jego potrzebami duchowymi i materialnymi za wartość najwyższą oraz w dążeniu do osiągnięcia wszechstronnego rozwoju jednostki ludzkiej.

Przypomnienie znaczenia tego terminu było konieczne dla sformułowania odpowiedzi na Pańskie pytanie. Zainteresowanie twórczością Władysława Orkana i Zbigniewa Uniłowskiego wiązało się z kolejnymi etapami mojego rozwoju naukowego. Jak wspomniałem autorowi *W roztokach* poświęciłem pracę magisterską, zaś dysertację doktorską twórcom *Wspólnego pokoju* i *Dwudziestu lat życia*. Mimo zasadniczych różnic w twórczości obu pisarzy wynikających z różnych epok i różnych środowisk, w jakich wzrastali, można u nich zauważyć tę samą empatię wobec otaczającej ich rzeczywistości. Poza tym wspólnym mianownikiem wszystko inne ich dzieli. Orkan analizuje sytuację ekonomiczną chłopca gorceńskiego, poszukuje dróg wyjścia z beznadziejnej sytuacji poprzez zastosowanie utopijnej teorii socjalnej. Natomiast Uniłowski dokonuje wiwisekcji warszawskiego środowiska literackiego (*Wspólny pokój*) i dojrzewania młodego chłopca w mieszczańskim środowisku

stolicy (*Dwadzieścia lat życia*). Jednak bez przesady mogę powiedzieć, że u obu pisarzy można mówić o „uznaniu człowieka wraz z jego potrzebami duchowymi i materialnymi za wartość najwyższą”.

**W.Ł.:** Czas, by zajrzeć do biografii Pana Profesora – taki fakt: chłopak jedzie 25 km rowerem ze wsi Czarny Potok do Nowego Sącza, do liceum na egzamin wstępny. Podczas niego ma kłopot z napisaniem słowa „klomb”, bo pierwszy raz w życiu je słyszy. Proszę o opisanie tego chłopaka (w duchu humanizmu chłopskiego), o pokonywanych barierach w liceum i na studiach polonistycznych w Krakowie. Jak Pan „zarabiał” na niezwykle wysokie oceny wybitnych historyków i krytyków naszej literatury, m.in. profesorów, Stanisława Pigonia i Kazimierza Wyki?

**B.F.:** Czytelnikowi powinniśmy przybliżyć topografię wsi Czarny Potok. Zwykle niesłusznie kojarzy się ją z miejscowością o tej samej nazwie, która znajduje się koło Krynicy (dzisiaj jej dzielnica), położonej u stóp Jaworzyny. Nie leży ona przy głównej drodze łączącej Nowy Sącz z Zakopanem, nie jest ulokowana przy ważnych szlakach turystycznych, nie posiada jakichś specjalnych atrakcji. Ma natomiast swoisty mikroklimat, co zadecydowało, że jest obecnie regionem sadowniczym; sady zajmują tutaj każdy skrawek ornej ziemi.

Już w tysiąc trzechsetnym roku założono tutaj parafię św. Marcina, a Jan Długosz w *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis* pisze, że wieś zamieszkiwana jest przez paru kmieci; jest tu kilka karczm, a zagrodnicy są zobowiązani oddawać dziesięcinę biskupowi krakowskiemu.

**W.Ł.:** W książce autobiograficznej *Powrót do korzeni. Nowy* (Kraków 2010) Pan szczegółowo referuje przebieg drogi syna chłopskiego do...

Do – jak się to u nas mówiło – „szkół”, z Czarnego Potoka w świat. Na Pańskie pytanie odpowiadam w maksymalnym skrócie. Był rok 1950, zaledwie pięć lat po wojnie światowej. Mam dwoje rodzeństwa: Stanisława i Janinę. Rodzice zastanawiali się, który syn pozostanie na roli, a którego należy wykształcić. Zdecydowano, że to ja pójdę „do szkół”. Pamiętam doskonale wspomnianą wyprawę na rowerze do Nowego Sącza, z przerwą na nocleg u kolegi Józefa Setlaka w Starym Sączu. Pamiętam egzaminacyjne dyktando w II Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego, w którym roiło się od nieznanych mi wówczas słów, jak choćby przypomniany przez Pana „klomb”. Napisałem je poprawnie chyba tylko dzięki fonetyce. Zostałem przyjęty do I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Długosza. Podczas wakacji nastąpiła bowiem reforma szkolnictwa w Nowym Sączu i Liceum im. Bolesława Chrobrego zostało zlikwidowane.

Zamieszkałem w bursie przy ul. Długosza. Miałem trudności w nauce, które wynikały z różnicy poziomów między wiejską szkołą podstawową z łączonymi klasami a sądeckim liceum. Posługiwałem się językiem gwarowym. Stąd np. nieporozumienia: kiedy użyłem słowa „gdowa” – polonistka zapytała głośno: a co to jest gdowa? Wywołała śmiech w klasie. W związku z problemami z ortografią polecono mi przepisywać jakąś książkę. Wypożyczyłem bodajże Henryka Sienkiewicza *Listy z Ameryki*. Kiedy skopiowałem około pięćdziesiąt stron, okazało się, że było to wydanie sprzed 1936 r., a więc sprzed reformy naszej ortografii. Utrwalałem więc

stare zasady pisowni. Zaległości nadrabiałem przede wszystkim poprzez zażartą lekturę. Przeczytałem np. wszystkie książki Józefa Ignacego Kraszewskiego z biblioteki szkolnej.

**W.Ł.:** Musiało to mieć pozytywny wpływ na Pana wiedzę historyczną w wersji autora *Starej baśni*.

**B.F.:** Oczywiście, miało. To były ciężkie lata, programy podporządkowano doktrynie kształcenia socjalistycznego. Mieliśmy jednak świetnych nauczycieli, wykształconych na przedwojennych uniwersytetach. Toteż doświadczyliśmy swoistej dychotomii edukacyjnej z ich strony. Np. historyk czy biolog podawali nam wiedzę, którą należało zapamiętać (treści, których nie było w programie) i treści, które należało zapisać (te zgodne z programem). Po śmierci Stalina w 1953 roku nastąpiło rozluźnienie rygorów ideologicznych, ale i tak w maturalnej, jedenastej klasie czytaliśmy sporo tekstów, ilustrujących tzw. realizm socjalistyczny, a więc Tadeusza Konwickiego *Przy budowie*, Jana Wilczka *Nr 16 produkuje*, Wandy Gościmińskiej *Mój wielki dzień*. Maturę w 1954 roku zdałem z bardzo dobrymi wynikami, bodajże tylko cztery oceny dobre. Stąd propozycja ze strony dyrektora, Franciszka Łapki, studiów na politechnice w Leningradzie. Jednak na wyjazd do ZSRR nie uzyskałem zgody ojca, więc zmieniłem podanie na studia z kierunku budownictwo na Politechnice Krakowskiej na polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Po latach sędzę, że studia humanistyczne gdzieś we mnie głęboko tkwiły, a pierwotny wybór politechniki wynikał raczej z namowy rodziców i ogólnej wówczas atmosfery wobec zawodu inżyniera. Postanowiłem zostać nauczycielem języka polskiego w szkole średniej.

**W.Ł.:** Nauczyciel języka polskiego w szkole średniej, to był także duży awans...

**B.F.:** Miałem taki przykład z rodzinnej wsi – Jan Rostocki, ojciec mojego kolegi Macieja jako pierwszy z Czarnego Potoka ukończył Uniwersytet Jagielloński i pracował jako polonista do 1939 roku w Chełmie Lubelskim.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie była uczelnią młodą, powstała w 1946 roku. Od 1954 uzyskała uprawnienia magisterskie. Trafiłem do niej dzięki sugestii mojej polonistki, która twierdziła, że tutaj uzyskam lepsze podstawy do pracy pedagogicznej. Miała rację. Z uczelnią tą, jak się potem okazało, związałem całe swoje życie zawodowe. Program obejmował trzy działy: przedmioty ideologiczne (marksizm, ekonomia polityczna), pedagogiczne (pedagogika, psychologia, metodyka nauczania poszczególnych przedmiotów), ogólne (językoznawstwo, literaturoznawstwo). Nasi znakomici profesorowie rekrutowali się z wykształconych przed wojną nauczycieli gimnazjów o ambicjach naukowych, a więc z doktoratami.

**W.Ł.:** Pracę magisterską napisał Pan na temat *Elementy naturalizmu w twórczości Władysława Orkana*.

**B.F.:** Tak. Miało to miejsce na seminarium prof. Jana Nowakowskiego, a wynikało z mojego zainteresowania pisarzem z Gorców jeszcze ze szkoły podstawowej, które utrzymała edukacja w szkole średniej (*Komornicy* jako obowiązkowa lektura). Po maturze z rąk dyrektora liceum Franciszka Łapki otrzymałem nadto *Wybór pism*

Władysław Orkana w bordowej oprawie ze wstępem Jana Błońskiego. Jako jedyną książkę wzięłem ją ze sobą na studia do Krakowa.

**W.Ł.:** Pracę naukową Bolesława Farena wysoko oceniali dwaj wybitni znawcy literatury: prof. Stanisław Pigoń i prof. Kazimierz Wyka... Czy Pan zetknął się z nimi na studiach polonistycznych?

**B.F.:** Nie. W czasie mojej krakowskiej edukacji obaj profesorowie nie pracowali na WSP. W początkowym okresie, tuż po powołaniu do życia uczelni, Pigoń miał zajęcia. Widywałem ich często, zwłaszcza autora *Z Kombornii w świat*, w Bibliotece Jagiellońskiej.

Po studiach podjąłem pracę jako wychowawca w Internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Nowej Hucie i Bibliotece Głównej WSP. Pewnego razu dostaję wiadomość, że sławny profesor Stanisław Pigoń chce się zapoznać z moją rozprawą magisterską. Włosy mi dęba stanęły, gdyż Pigoń w tym roku wydał monografię *Władysław Orkan*. Naturalnie przedstawiłem maszynopis Profesorowi. Przeczytał. Oceniał, że przyjąłby ją na UJ bez zmrużenia oka. Mojemu promotorowi zasugerował, by zainteresował się moim rozwojem naukowym. Zostałem asystentem w Katedrze Historii Literatury krakowskiej WSP.

Z Kazimierzem Wyką spotkałem się dzięki Wincentemu Dankowi. Panowie przyjaźnili się. Obaj pochodzili z Krzeszowic. Autor *Modernizmu polskiego* pomógł mi przy wyborze tematu pracy habilitacyjnej o jego mistrzu Stefanie Kołaczkowskim, profesorze literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim przed wojną. Wyka aż do swojej śmierci udzielał mi porad rzeczowych i metodologicznych. W chwilach zwątpienia podtrzymywał mnie na duchu. Imponował mi szerokimi horyzontami naukowymi, zainteresowaniem romantyzmem, Młodą Polską, aktywną działalnością krytycznoliteracką, i uzdolnieniami pisarskimi; pisał m.in. pastisze poezji polskiej.

**W.Ł.:** Opowiada Pan i wielokrotnie pisze o „skrzyni matki” pełnej przedmiotów – to wartość fizyczna tego mebla. Ale w opisie przebija się również wartość magiczno-metaforyczna. Ile w tej skrzyni symbolizmu, a ile realizmu?

**B.F.:** Stara drewniana skrzynia mojej matki, pomalowana ma zielono, ozdobiona czerwonymi różami jest przedmiotem realnym. Do dziś spoczywa „uwięziona” na strychu w nowym domu mego brata. Dlaczego uwięziona? Otóż podczas budowy wyniesiono ją na strych. Po zakończeniu inwestycji okazało się, że nie ma otworu, przez który można by ją stamtąd zdjąć. Przekonałem się o tym, kiedy mój wnuk Maciej, po przeczytaniu szkicu o starej skrzyni, postanowił sprawdzić, czy ona naprawdę istnieje? Czy nie jest to mit? Dla nas, dzieci, zawsze miała znaczenie magiczne, a zwłaszcza jej zawartość, której – jak oka w głowie – strzegła matka.

**W.Ł.:** Od czasu do czasu mogliście zajrzeć do środka i zapoznać się ze skarbami?

**B.F.:** Zawartość starej skrzyni ma dla mnie do dziś wartość magiczno-symboliczną. Cóż się na nią składa: stare stroje ludowe, dziedziczone z pokolenia na pokolenie, pocztówki nadsyłane z różnych stron Europy przez braci i kolegów mojej matki i jej siostry walczących na różnych frontach Wielkiej Wojny, zdjęcia rodzinne od

początku XX wieku i parę złotych jednodolarówek przysłanych przez wuja z Ameryki. A więc jest w niej zawarta historia rodziny Pulitów, a więc mojej matki. Co w przypadku chłopów, kiedy – poza księgami parafialnymi, nie było innych dokumentów, skrzynia była świadectwem trwania, historii.

**W.Ł.:** Dowodzi Pan, że patriotyzm w skali makro buduje się na podwalinach patriotyzmu w skali mikro – przyjrzyjmy się urokom tej drogi od mikro do makro...

**B.F.:** Przyznać muszę, że do tego przekonania doszedłem dość późno. Podczas mojego pobytu w Austrii w latach 1986–1990, kiedy to w Wiedniu byłem dyrektorem Instytutu Polskiego. W tym niewielkim kraju, w samym tylko landzie Dolna Austria funkcjonuje sto muzeów regionalnych. Prawie każde miasto, także małe, je posiada, troszczy się o nie, wzbogaca jego zasoby. Pielęgnuje się tutaj tradycje regionalne w muzyce, stroju, obyczajach. Miało to miejsce jeszcze przed przystąpieniem Austrii do Unii Europejskiej. Myślę, że sprawa w przypadku naszego polskiego podwórka obecnie staje się coraz bardziej aktualna, kiedy przystąpiliśmy do Wspólnoty. Przynależność do Unii Europejskiej ma ogromne zasługi dla postępu cywilizacyjnego, ale jednocześnie silne tendencje unifikacyjne w wielu dziedzinach. Dlatego kultywowanie odrębności kulturowej, świadomość małych ojczyzn jest dla nas niezwykle ważna. Istotną funkcję edukacyjną pełnią w tym względzie regionalne wydawnictwa, periodyki, przypominając sylwetki postaci zasłużonych dla regionu, dla nauki i kultury. Patriotyzm lokalny nie powinien oczywiście rodzić tendencji separatystycznych, wręcz przeciwnie, powinien wywoływać dumę z przynależności do szerszej Wspólnoty. Nie do przecenienia jest więc kultywowanie twórczości artystycznej, muzycznej, plastycznej czy literackiej lokalnych twórców. Dla wielu z nich jest to jedyny sposób funkcjonowania w szerszym obiegu czytelnicznym, aczkolwiek dzisiaj dzięki Internetowi te możliwości są znaczne większe. Do tego przekonania dochodzę m.in. dzięki współpracy z regionalnymi periodykami Ślądczyzny, jak „Almanach Muszyny”, „Almanach Ślądecki” czy „Almanach Łącki”.

**W.Ł.:** A teraz inna przebyta przez Pana droga – od wyróżnionej pracy magisterskiej na krakowskiej polonistyce do fotela rektora krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego. Magnificencjo w stanie spoczynku, proszę przekonać Czytelników tego wywiadu, że pokonywanie szczybli kariery historyczno i krytycznoliterackiej nie przyspieszało niebezpiecznie rytmu pracy serca, gdy ono równolegle pokonywało szczyble innej drabiny społecznej – ministra oświaty oraz kilku innych administracyjnych funkcji.

**B.F.:** Oj, przyspieszało niebezpiecznie... Praca moja koncentrowała się wokół trzech różnych przedsięwzięć. Po pierwsze – prowadziłem aktywną działalność naukową, badania historycznoliterackie, uprawiałem krytykę literacką i publicystykę; po wtóre – zajmowałem się nauczaniem, najpierw w szkole średniej, później nauczaniem nauczycieli w krakowskiej WSP. Notabene, uczelnia w ciągu lat zmieniała nazwy: Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna, potem Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej, Akademia Pedagogiczna im. KEN, a obecnie Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN, który w 2016

obchodzi jubileusz 70-lecia. Po trzecie – zajmowałem różne funkcje, jak np. rektora WSP (dwie kadencje), ministra oświaty i wychowania (pięć lat), dyrektora Instytutu Polskiego w Wiedniu (cztery lata). Wszystkie one wiązały się z głównym nurtem mojego zatrudnienia, a więc z oświatą.

**W.Ł.:** Jak można było wykonywać tyle funkcji? Oczywiście – nie wszystkie równocześnie.

**B.F.:** Uprawiałem swoistą trójpołówkę. Raz koncentrowałem się głównie na badaniach naukowych, kiedy indziej intensywnie zajmowałem się zadaniami organizacyjnymi, ale przez cały czas uprawiałem dydaktykę; ona sprawia mi najwięcej satysfakcji, w niej czułem się najlepiej.

**W.Ł.:** A tak zwana służba państwowa?

**B.F.:** To było najtrudniejsze. Czasy były ciężkie, a ja miałem ambicję zachować swoją osobowość, spożytkować wieloletnie doświadczenie pedagogiczne. Wbrew przeciwnościom losu udało się paru rzeczy dokonać. Przykłady: Karta Nauczyciela, dziś krytykowana, a wówczas jedyny sposób, by podnieść status materialny pracowników oświaty. W tym czasie po raz pierwszy w podręczniku do historii znajdzie się słowo Katyń. Pojawiają się informacje o prześladowaniach Polaków na ziemiach wschodnich. Zmienia się lista lektur, zostają do nich wprowadzeni m.in. Czesław Miłosz i Witold Gombrowicz. Toteż z satysfakcją muszę powiedzieć, że kiedy odchodziłem ze stanowiska ministra otrzymałem parę sympatycznych pism. Sięgam do domowego archiwum; prof. Jan Legowicz z Uniwersytetu Warszawskiego pisze: „Niech ta pamięć wdzięczności, wyrazy czci, i poważania oraz wspomnienie tego, co dobrego Pan zrobił dla polskiej szkoły i jej nauczycieli idzie za Panem Profesorem i owe wspomnienie o ludziach sobie oddanych, pozostanie przy Panu”. A ukazująca się w drugim obiegu „Gazeta Niedzienna” napisała: „W wyniku ostatnich przetasowań w rządzie ze stanowiska ministra oświaty odwołany został profesor krakowskiej WSP Bolesław Faron, który w dość powszechnym odczuciu z umiarem i zręcznie sterował szkolnictwem w burzliwych latach 1980–1985, ratując w stanie wojennym i powojennym wiele z korzystnych zmian, które przyniósł zryw nauczycieli w okresie posierpniowym. I chyba głównie dlatego musiał odejść”. W sensie osobistym to najtrudniejszy okres w moim życiu. Nie napisałem wtedy ani jednego zdania w mojej głównej dziedzinie, w zakresie literaturoznawstwa. Natomiast pobyt w Wiedniu, to powolne odradzanie osobowości, uczestnictwo w ważnych zdarzeniach kulturalnych, kontakt z życzliwymi ludźmi, naturalny powrót do normalności.

**W.Ł.:** Jako były minister przyglądał się Pan zapewne licznym reformom polskiej szkoły. Ciągłe w nich przewija się duch niezwykle krytyczny; oto jeden z najgłówniejszych problemów – praca nauczyciela – ich kiepskie przygotowanie edukacyjne i wychowawcze. Pisał Pan o potrzebie gruntownej zmiany świadomości nauczycieli i wychowawców. Dlaczego kolejnym, licznym ministrom tak mało udaje się zdziałać? Czy rzeczywiście ta świadomość jest niereformowalna?

**B.F.:** Kilkudziesięcioletnia praca na rzecz oświaty nauczyła mnie pokory wobec tego zagadnienia, powściągliwości w wydawaniu sądów. Otóż, jestem przekonany, że zbyt częste reformy nie pomagają oświacie, czasem jej szkodzą. Eksperymentuje się bowiem na żywym organizmie młodych. Zmiany w tej sferze oczywiście są konieczne, wynikają one z przemian ustrojowych, postępu cywilizacyjnego i naukowego. Sądzę jednak, że następują one zbyt często i nie mają znamion postępu ewolucyjnego.

**W.Ł.:** Ta karuzela rotacyjna szefów oświaty i szkolnictwa...

**B.F.:** Ambicje każdej nowej ekipy do reformowania, rozpoczynania wszystkiego niejako od początku, dezorientuje nauczycieli i innych pracowników oświaty. Za zbyt duże utrudnienie uważam biurokratyzację działań szkoły. Proces edukacyjny i wychowawczy wymaga ciągłości, konsekwencji, reagowania na zagrożenia cywilizacyjne. Przykład – do roku 1989 mieliśmy w Polsce dobrze rozwinięty system szkolnictwa zawodowego: technika, licea zawodowe i zasadnicze szkoły zawodowe. W latach dziewięćdziesiątych ta część szkolnictwa została zniszczona (pozostały resztki). Dzisiaj słyszę z ust prominentów, że istnieje pilna potrzeba reaktywowania tego, co zniszczono jako „relikt” przeszłości.

**W.Ł.:** Od lat słyszymy także narzekania rodziców, mediów, nadzoru pedagogicznego na niski poziom merytoryczny nauczycieli.

**B.F.:** Pedagogzy są po prostu wypadkową społeczeństwa, z którego się wywodzą. Zawód od lat nisko opłacany, biedny, ale odpowiedzialny. Jak kształcić nauczycieli? Jestem zwolennikiem tradycyjnego ich przygotowania w dobrych zawodowych uczelniach. Musimy mieć świadomość, że wykształcenie nauczyciela nie kończy się w murach uniwersytetu. Stąd niezwykle ważne jest doskonalenie zawodowe czynnych nauczycieli, ich samokształcenie. Myślę, że tutaj jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia.

**W.Ł.:** Porusza Pan m.in. problem manipulowania kanonami lektur szkolnych. Ono – manipulowanie – ciągle trwa! Wybór autorów i tytułów książek powoduje mętlik w głowach polonistów i uczniów. Czy jest szansa, że ta karuzela nazwisk i tytułów kiedyś się zatrzyma, co pozwoli twórczo odpocząć jednym i drugim?

**B.F.:** Kanon lektur na poziomie wszystkich typów szkół jest sprawą nieodzowną. Idzie po prostu o to, by kolejne pokolenia miały szanse poznać podstawowe wartości kultury narodowej, do których należą także teksty literackie. Moim zdaniem, powinien on obowiązywać w dwóch wersjach: podstawowej i do wyboru; w tej drugiej dającej szansę poloniście, by dobierał teksty w korelacji z możliwościami percepcyjnymi uczniów. Zbyt częste manipulowanie przy nim przez kolejne ekipy ministerialne jest zabójcze. Muszę, niestety, Pana zmartwić – nie widzę końca tego procederu.

**W.Ł.:** Wejdźmy na drabinę historyczno- i krytycznoliteracką – pisze Pan o krytyce w okresie dwudziestolecia. A obecnie poeci i prozaicy bardzo narzekają na jej jałkość, zaś niektórzy nawet kwestionują jej istnienie – czy słusznie?

**B.F.:** Krytyka literacka w dwudziestoleciu międzywojennym rozwijała się świetnie. Dysponowała znakomitymi czasopismami jak „Wiadomości Literackie” czy „Skamander”. Prezentowała różne orientacje filozoficzne, z marksizmem łącznie (Ignacy Fik). Wypowiedzi Leona Pomirońskiego, Kazimierza Czachowskiego, Leona Piwińskiego, Ludwika Frydego na temat ówczesnej twórczości do dzisiaj zachowały swoją wartość. Również po II wojnie światowej krytyka w Polsce, mimo ograniczeń ideologicznych, miała się dobrze. Przypomnę choćby krakowską szkołę krytyki Kazimierza Wyki, liczne pisma literackie i kulturalno-społeczne, z których większość po przemianach ustrojowych została zlikwidowana; np. bliskie mojemu sercu krakowskie „Życie Literackie”. Niektóre, jak „Twórczość”, „Dialog”, „Odra”, „Nowe Książki”, lepiej czy gorzej egzystują do dziś. Poważna, oparta na głębokich podstawach filozoficznych, metodologicznych krytyka jednak zanikła. Ucichły spory metodologiczne. To prawda – tli się jeszcze działalność recenzencka w różnych lokalnych pismach o ambicjach literackich. Pojawiła się też nowa forma prezentowania literatury, wyrażania o niej sądów – Internet.

**W.Ł.:** Nie śmiem tego nazwać zarzutem – ale najwyższe autorytety polskiej polonistyki zwracały uwagę na Bolesława Farena z jego nadmierną „powściągliwością w formułowaniu opinii” przy analizowaniu tekstów i autorów. Jaka jest Pana opinia... o opiniach o Pańskim warsztacie krytycznym? Czy rzeczywiście czuł Pan „asekurancki lęk” przed używaniem przymiotników oceniających?

**B.F.:** Jest to konstatacja uzasadniona. Dotyczy ona przede moich prac naukowych o Zbigniewie Uniłowskim czy Stefanie Kołaczkowskim. Wynikało to przede wszystkim z moich przekonań metodologicznych. Jako młody pracownik nauki poszukiwałem jakiegoś oparcia metodologicznego. Zaimponowała mi wówczas warszawska grupa pracowników Instytutu Badań Literackich PAN z Januszem Stawińskim i Michałem Głowińskim zafascynowana strukturalizmem. Brałem udział w organizowanych przez nich konferencjach teoretycznoliterackich, słuchałem ich referatów i wystąpień w dyskusjach, czytałem ich książki. Stąd w pierwszych moich pracach naukowych ciekawiła mnie przede wszystkim czysta literackość tekstu. Brak osobistych ocen może był także ucieczką od obowiązującej wówczas interpretacji ideologicznej – propagandowego marksizmu.

**W.Ł.:** W eseju o wybitnej polonistce Marii Janion przypomina Pan jej nakaz: „obowiązkiem humanisty jest oceniać...” Co Pan na to? Przyznaje Pan w eseju, że wiele myśli Marii Janion wymaga rozwinięcia – proszę o rozwinięcie tej myśli: „głos humanistów potrzebny jest do rozwiązywania dzisiejszych dylematów?” Trudno sobie dziś wyobrazić czas bardziej tego wymagający.

**B.F.:** Więcej, Maria Janion twierdzi, że „intelektualista jest zobowiązany do krytycyzmu, często skrajnego krytycyzmu. Na tym polega w końcu jego funkcja społeczna”. Badaczka uznała, że obowiązkiem intelektualisty, humanisty jest wypowiadać się na tematy współczesności, dokonywać jej oceny, zabierać głos w sprawach ważnych dla wszystkich ludzi. Tak zresztą traktuje swoją misję, analizując zjawisko romantyzmu do przełomu politycznego czy ogłaszając potem odejście od paradygmatu

romantycznego w kulturze polskiej. Stało się to za sprawą przemian ustrojowych i cywilizacyjnych po roku 1959. Ostatnim ruchem, który według Marii Janion był nacechowany paradygmatem romantyzmu, była Solidarność.

**W.Ł.:** Powtarzam pytanie: a co Pan na to?

**B.F.:** Powiem krótko za Marią Janion: tak, obowiązkiem humanisty jest oceniać.

**W.Ł.:** I pytanie drugie, które tu przypomnę: proszę o rozwinięcie tej myśli: „głos humanistów potrzebny jest do rozwiązywania dzisiejszych dylematów?”

**B.F.:** Ja także jestem zdania, że głos humanistów powinien brzmieć coraz donośniej w aktualnych sporach politycznych, na przykład w dzisiejszym sporze o Trybunał Konstytucyjny. Nie zauważyłem jednak, by politycy przejmowali się głosem intelektualistów, humanistów. Czy to oznacza, że w takiej sytuacji humanista powinien milczeć. Nie! Powinien dawać świadectwo.

**W.Ł.:** Maria Janion, wybitna znawczyni polskiego romantyzmu, jest przeciwniczką pochwał „dla polskiego romantyzmu cierpiętniczego”. A teraz część społeczeństwa coraz dobitniej głosi chwałę martyrologii i tzw. moralnych zwycięstw. Dlaczego tak się dzieje i co z tego wynika?

**B.F.:** Mam wątpliwość, czy jest to słuszna diagnoza, że „część społeczeństwa coraz dobitniej głosi chwałę martyrologii”. To raczej politycy od dłuższego czasu (nie dotyczy to tylko obecnej władzy) lansują tzw. politykę historyczną, w której właśnie dominuje kult przegranych zrywów narodowych (np. powstania warszawskiego). Co z tego wynika? Nie wiem. Jeżeli okaże się, że podejmowane w tym względzie zabiegi polityków będą skuteczne, to odcisnie się to negatywnie na psychice i postawach przynajmniej części młodego pokolenia. Czas pokaże...

**W.Ł.:** Czy syn chłopski z gór boi się, że na przykład wybitny „panicz” Witold Gombrowicz po raz drugi zostanie skreślony z listy lektur, a może i z repertuaru teatralnego?

**B.F.:** Nie boję się. Gombrowicz jest na tyle ważną postacią w kulturze polskiej, że sam się obroni. Jego zasługi dla przewietrzenia polskiego podwórka są niepodważalne, a niezwykle ciekawa powieść *Ferdydurke* zawsze znajdzie czytelników. Martwię się czymś innym, że młodzież coraz mniej czyta oryginalnych dzieł, że w szkołach, a nawet uniwersytetach królują bryki, streszczenia, że od tego typu pomocy aż roi się w Internecie. Dostrzegam poważne niebezpieczeństwo wobec młodych ze strony współczesnych mediów. Alarmują na ten temat poważne autorytety. Przypomnę książkę niemieckiego psychiatry i neurologa Manfreda Spitzera *Cyfrowa demencja. W jaki sposób pozbawiamy rozumu siebie i swoje dzieci* (Słupsk 2013) oraz Agnieszki Ogonowskiej *Uzależnienia medialne czyli o patologicznym wykorzystaniu mediów* (Kraków 2014).

**W.Ł.:** Panie Profesorze, były wiceprezesie i członku zarządu krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich – dlaczego na jego stronach w Internecie panuje kompletna pustka, nie licząc fotografii i krótkiego biogramu... Bolesława Farona

**B.F.:** To wyłącznie moja wina. Proszę Zarządu, bym dostarczył materiały na stronę Internetową, potraktowałem wręcz lakonicznie, uważając, że skoro na innych stronach (np. Instytutu Filologii Polskiej) są szersze o mnie informacje, to tutaj można je ograniczyć. A w ogóle, to że informacje o działaniach krakowskiego Oddziału są szczupłe wynika zapewne z lenistwa innych członków, a może też z powodu braku odpowiednich środków finansowych. Myślę, że nasz Oddział ma się czym pochwalić, m.in. systematycznie organizowanymi spotkaniami w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” i w Śródmiejskim Ośrodku Kultury, organizowaniem Nocy Poetów, wydajemy periodyk „Literat Krakowski” oraz antologię wierszy o Nocach Poezji, itp. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku redagowałem wraz z Ryszardem Sadajem miesięcznik „Lektura”, pismo dzisiaj całkowicie zapomniane. Do ZLP wstąpiłem pod koniec lat 70. Ówczesny prezes krakowskiego Oddziału Jan Pieszczachowicz wspomina w związku z tym taką anegdotę: kiedy na posiedzeniu ZLP w Warszawie referował sprawę mojego przyjęcia, prezes Jarosław Iwaszkiewicz zapytał: „a który jest ten Faron, ten co napisał książkę o Zbigniewie Uniłowski?” Tak – odpowiedział – Pieszczachowicz. „To przyjąć, przyjąć – stwierdził Iwaszkiewicz, to dobra książka, aczkolwiek autor nie ustrzegł się drobnych pomyłek”. Iwaszkiewicz zrecenzował rzecz o autorze *Wspólnego pokoju* w „Życiu Warszawy”. To dla mnie, debiutującego autora było wielkim przeżyciem.

**W.Ł.:** Dlaczego niezwykle bogactwo twórczo-autorskie krakowskiego środowiska literackiego nie idzie w parze z jego aktywnością i atrakcyjnością w działaniu?

**B.F.:** Myślę, że nie jest to sprawa tylko środowiska krakowskiego, w którym zresztą funkcjonują dwa związki: Związek Literatów Polskich i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. One działają oddzielnie i rzadko podejmują wspólne inicjatywy. Wielka szkoda. Krakowski Oddział działa – jak wspominałem wyżej – bez środków finansowych, bez własnego lokalu. Dopóki nie będzie większej opieki ze strony instytucji kultury (tak było kiedyś) nad związkami twórczymi, dopóty o jakichś wyraźniejszych symptomach ich działalności i aktywności twórczej będzie trudno mówić.

**W.Ł.:** W monografii o Jamie Michalikowej (wyjątkowym miejscu w skali europejskiej) pisze Pan o unoszącym się w jej salach duchu Młodej Polski. Czy ten duch zaburza dzisiejszość tego miejsca, które jest raczej pogrążone w letargu?

**B.F.:** Jama Michalika w Krakowie to rzeczywiście wyjątkowe miejsce w Europie. W 2013 roku jako jedyna kawiarnia z Polski znalazła się na szóstym miejscu (na piętnaście wyróżnionych) w rankingu kawiarni historycznych stworzonym przez popularny serwis dla turystów Global Grasshopper. Miałem okazję podczas pobytu w Wiedniu odwiedzić prawie wszystkie secesyjne kawiarnie nad Dunajem, jak również niektóre w Pradze, w Paryżu oraz Nancy, mogę więc zapewnić, że Jama Michalika pod względem ilości i wartości zgromadzonych dzieł nie tylko może z nimi

konkurować, ale w wielu wypadkach wyraźnie nad nimi góruje. Czas kawiarni jednak już minął. Pełni ona dzisiaj rolę zabytku, który odwiedzają zagraniczni turyści, czasem zjawi się jakaś wycieczka szkolna ze swoim polonistą, zagłówną tutaj studentami. Środowisko artystyczne Krakowa, środowiska literackie raczej to miejsce omijają. Powrotu do atmosfery opisanej przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego nie ma, chociaż nowi gospodarze Ewa i Stanisław Kulisiowie dbają nie tylko o wysoką jakość gastronomiczną podawanych potraw, ale również o odpowiedni program kulturalny.

**W.Ł.:** W książce Okruchy. Szkice o literaturze i kulturze przywołuje Pan obraz nadzwyczaj smutnego, paryskiego pogrzebu wieszczki Juliusza i jego pośmiertnych peregrynacji. Nad trumną autora Kordiana i Króla Ducha zabrakło nawet jednego słowa jakiegokolwiek pożegnania. Między dwoma wieszczkami – (słońcami – Beniowski) panowała przepaść. Jeszcze dużo większą przepaść społeczno-polityczną w skali kraju przeżywamy dziś. Czy taki nasz narodowy los, że Polacy są największymi wrogami Polaków; dobijamy się po polsku?

**B.F.:** Do wskazanego tutaj przykładu Wieszczów dodam jeszcze jeden. Otóż, obóz koncentracyjny w Mauthausen miał swoją filię w Ebensee, miejscowości koło Salzburga. Tam w katorżniczych warunkach pracowali w sztolniach także Polacy. Odwiedzając tę miejscowość w latach osiemdziesiątych, spotkałem ich dwóch, którzy po wyzwoleniu obozu pozostali tutaj. Nazywali się Żuk i Sikora. Proszę sobie wyobrazić, że przez cały okres po wojnie nie rozmawiali ze sobą, a uroczystości z okazji kolejnych rocznic wyzwolenia obozu przez Amerykanów obchodzili osobno. Jeden o godzinie 11 wraz z pracownikami polskiej ambasady, a drugi o 13 wraz z grupką swoich zwolenników. – Czy taki nasz narodowy los? Chyba tak. Ciekawa byłaby odpowiedź na pytanie, gdzie szukać genezy tego zjawiska? Może w naszej historii? Na to pytanie nie znam jednak kompetentnej odpowiedzi.

**W.Ł.:** Dziękuję za rozmowę.